



FIRESTONE MC #1

*Nie obiecuj*  
**NICZEGO**

P. J. HOWARD  
NATALIE RENARD

P. J. HOWARD  
NATALIE RENARD



FIRESTONE MC #1

*Nie obiecuj*  
**NICZEGO**



Copyright © P. J. Howard, Natalie Renard  
Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski, Kraków 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

Redakcja i korekta:  
Aneta Krajewska

Projekt okładki:  
Justyna Sieprawska  
Zdjęcie na okładce:  
Autor: LightField Studios  
Źródło: <https://www.shutterstock.com>  
Autor: bogadeva1983  
Źródło: <https://www.shutterstock.com>

Wydawnictwo:  
Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski  
Al. 29 Listopada 130/119, 31-408 Kraków

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski  
ul. Józefa Kostrzewskiego 17, 30-437 Kraków  
[www.wydawnictwo-feniks.pl](http://www.wydawnictwo-feniks.pl)

Redaktor Naczelny: Anna Fiałkowska-Niewiadomska  
e-mail: [redaktor.naczelnny@wydawnictwo-feniks.pl](mailto:redaktor.naczelnny@wydawnictwo-feniks.pl)

Promocja i marketing:  
e-mail: [marketing@wydawnictwo-feniks.pl](mailto:marketing@wydawnictwo-feniks.pl)

Numer ISBN 978 83 66826 74 8



## PROLOG

Na świecie istniało niewiele rzeczy, które wzbudzały zainteresowanie Rhetta. Alkohol i narkotyki. Kobiety i seks. Broń i przemoc.

Wszystko, co wiązało się z niechlubną częścią męskiego życia było tym, czego kurczowo się trzymał, chociaż niegdyś zakres jego zainteresowań był o wiele szerszy. Przestępczość zorganizowana; to właśnie ona kierowała jego życiem od blisko dziesięciu lat. Wielu jego znajomych nie potrafiło zrozumieć, dlaczego facet, który miał ambicje, plany na przyszłość, i od którego były radość oraz chęć do życia, w starciu ze śmiercią poniósł tak sromotną klęskę.

Nie mogli pojąć tego, co poczuł feralnego popołudnia, kiedy po odebraniu telefonu rzucił wszystko, by jak najszybciej pojawić się u boku najważniejszej kobiety, która kiedykolwiek istniała w jego życiu. To, że miał dwadzieścia lat, nie mogło wpłynąć na to, jak zareagował na śmierć matki. Wciąż pamiętał, jak czuwał przy niej w ostatnich chwilach życia; jej wychudzoną, bladą sylwetkę oraz gasnące spojrzenie.

Rak. Cholerna zaraza, która zbiera żniwo, nie zważając na to, kim jest dany człowiek. Pamiętał również swojego ojca: jego pozbawiony emocji wyraz twarzy – jakby czekał na moment, w którym będzie mógł zająć się formalnościami dotyczącymi pochówku żony.

Tamtego dnia coś w nim pękło. Coś, co sprawiło, że oddał się nałogom, odciął od dotychczasowych przyjaciół i znalazł nowych.

To właśnie ci nowi przyjaciele w ciągu kilku ostatnich lat stali się jego rodziną. Prawdziwą, na której mógł polegać w każdej, nawet najbardziej patowej chwili. Oni pokazali mu, jak poruszać się po świecie, którego zawsze unikał. Zapoznawali go z tajnikami organizacji, w której piął się po kolejnych szczeblach. Od rekruta do tak zwanego żołnierza. Od żołnierza do zastępcy szefa – w tym przypadku Johna – którego nazywali Prezesem. Polubił to. Na tyle, by nie przejąć się momentem, w którym stracił wszystko to, co zamierzał przekazać mu ojciec. Zaprzepaścił szansę na ukończenie studiów, rozwijanie zawodowej kariery i odziedziczenie zarówno doskonale prosperującej firmy ojca, jak i rodzinnego majątku. Nie potrzebował tego. A przynajmniej tak mu się wydawało, gdy dochody z dilerki, handlu nielegalnym towarem i przemytów przynosiły zyski, które w zupełności wystarczyły mu na życie i pozwalały odłożyć coś na przyszłość.

Istotnym było dla Rhetta również to, że staż miał spore znaczenie w wysokości wynagrodzenia. Każdy kolejny rok spędzony w ekipie wiązał się z nowymi obowiązkami i zadaniami. Wszystko to było należycie wynagradzane, o ile sprawy się nie pogmatwały i Klub nie był stratny na danej akcji.

To był jeden z takich dni.

Jesienne, deszczowe popołudnie zwiastowało niepowodzenie. Obrzeża Seattle były jednym ze stałych punktów odbierania towaru. Tego dnia głównym celem było odebranie od Irlandczyków kilkudziesięciu sztuk broni. Typowy sprzęt, którego używała policja i wojsko. Dla szarego cywila nieosiągalny, jeśli nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Jedynie wtajemniczeni i ci, którym naprawdę zależało, potrafili poruszać się po czarnym rynku – niedostępnym dla nikogo przypadkowego.

Nie wiedział, w którym momencie coś poszło nie tak. Głowa pulsowała bólem. Dzwoniło mu w uszach. Czuł jedynie wilgotną ziemię w ustach i zapach gnijącej trawy, gdy próbował zebrać się w sobie i przeanalizować ostatnie minuty. Słyszał pojękiwania. Ktoś krzyczał. Ktoś inny wdał się w szarpaninę. Odzyskując władzę w ciele, podniósł się i stanął o własnych siłach. Choć wciąż chwiał się na nogach, których kolana uginały się pod ciężarem ciała, obrzucił wzrokiem najbliższe otoczenie.

– Pierdolone meksykańskie ściierwa!

Otrząsnął się, słysząc wściekłość Prezesa. Spojrzał na niego i wiedział, że musiał interweniować. Cała złość była wymierzona w rekruta.

– Daj spokój. Dowiemy się, kto jest kretem, ale nie tutaj – mruknął, chwytając Johna za ramię. Nie chciał bójki. To nie były odpowiednie ani czas, ani miejsce. – Wzięli wszystko? – zapytał jednego z Irlandczyków. Ten splunął i pokiwał głową.

Rhett poczuł narastającą frustrację. Zostawiwszy Prezesa, skierował swoje kroki w stronę furgonetki. Po drodze dostrzegł resztki granatu hukowego.

Widząc pustą pakę furgonetki, przecesał dłońmi swoje jasne włosy. To był naprawdę długi wieczór. Zmęczenie dawało się mu coraz bardziej we znaki.

– Wracamy do klubu. Zastanowimy się co zrobić z tym gównem, jak opatrzymy starego. Te poparzenia wyglądają kiepsko. Zabierzcie go do furgonetki i jedźcie.

Wyrobione przez lata doświadczenie nakazywało mu zachować zdrowy rozsądek. Musieli się skupić na tym, co ważne. Musieli opatrzyć jednego z klubowych weteranów, który nieszczęśliwym trafem znalazł się najbliżej wybuchu.

Obserwował poczynania swoich współtowarzyszy. Zamienił kilka zdań z szefem Irlandczyków, który ze swoją ekipą miał jechać tuż za nimi. Gdy wszyscy się pozbierali, wsiadł na motocykl i już miał ruszać w drogę powrotną, gdyby nie telefon, który zaczął uparcie wibrować w kieszeni spodni.

Nie chciał odbierać. Widząc na wyświetlaczu numer ojca gotów był odrzucić połączenie, ale przecież starszek nieczęsto do niego dzwonił. Coś musiało się stać.

– Lepiej, żebyś miał dobry powód, dla którego dzwonisz. Co jest? – rzucił oschle i skinął dłonią do swojego szefa, chcąc mu dać do zrozumienia, że jeszcze chwilę zostanie.

Ten nie ruszył się z miejsca i czekał na niego, ale Rhett wcale nie czuł się z tym dobrze. Wolałby rozmowę z ojcem przeprowadzać na osobności.

– Przyjedź na kolację, synu. Dzisiaj.

– Zwariowałeś? Ostatni raz rozmawialiśmy przed rokiem, kiedy łaskawie wpłaciłeś za mnie kaucję. Teraz zapraszasz mnie na kolację?

– Nie będę dwa razy prosił. Ktoś chce cię poznać, i tylko dlatego dzwonię.

– Przygruchałeś sobie nową pannę? Nie sądziłem, że z ciebie jest taki Alvaro – zakpił jawnie z własnego ojca, który od śmierci matki zmieniał partnerki jak rękawiczki. A może to one od niego uciekały? Nie wnikał.

– Próbuję ułożyć sobie życie. Też mógłbyś to zrobić. Poczekaj...

Nie skomentował słów ojca. Nie zamierzał układać sobie życia. To, które wiódł obecnie w pełni mu odpowiadało. Kobiet miał na pęczki, z tą różnicą, że, w przeciwieństwie do starego Hawthorne’a, niczego im nie obiecywał.

Kilkanaście sekund zdawało się ciągnąć w nieskończoność, ale udało mu się usłyszeć dwa kobiece głosy. Jeden należący zapewne do nowej zdobyczy jego ojca, a drugi, jeśli dobrze zrozumiał, do jej córki. Ten właśnie głos wystarczył, żeby w Rhetcie narodziła się ludzka ciekawość.

– Za dwie godziny jemy. Przyjedziesz?

– Jasne. Będę wcześniej. – Po tych słowach rozłączył się i zerknął na szefa, który uniósł brwi w pytającym geście.

– Jadę do starego. Zaprosił mnie na kolację. Dacie sobie radę sami? Wrócę tak szybko, jak się da.

– Jasne, jedź, tylko nie spierdol tego. Wiesz, że wszystko się zjebało i potrzebujemy kompletu ludzi przy stole.

– Wiem. Zobaczą, jak się sprawy mają i wracam – skwitował, podsumowując swoje słowa porozumiewawczym kiwnięciem głowy.

Kiedy Prezes, kawał zimnego drania, który był mu bardziej ojcem niż człowiek, z którym Rhett miał spędzić wieczór, odjechał, sam ruszył w przeciwnym kierunku. Musiał dostać się do mieszkania i doprowadzić do porządku przed kolacją, którą chciał mieć już za sobą, choć od tej dzieliły go długie godziny.

## Rozdział 1

Rylee Callahan, mimo upływającego w zawrotnym tempie czasu, wciąż nie oswoiła się z faktem, że w wieku kilkunastu lat zyskała brata. To brzmiało absurdalnie. Jako rozpieszczona do granic możliwości jedynaczka i jednocześnie córka najbardziej rozchwytywanego na Zachodnim Wybrzeżu prawnika oraz rozpoznawalnej w całym medycznym świecie pani chirurg, nigdy nie musiała przejmować się koniecznością dzielenia życiowej przestrzeni z drugą osobą.

Od rozvodu rodziców była pozostawiona sama sobie. Caroline Callahan rzuciła się w wir pracy, jednocześnie stawiając przed córką coraz większe wymagania dotyczące przyszłości. Ojciec pojawiał się sporadycznie – przy okazji świąt czy urodzin, które odbywały się pod hojnym patronatem jego portfela. Ryles nie mogła narzekać na swoje dzieciństwo i okres wczesnej młodości. Bajkowe – właśnie takiego użyłaby słowa, gdyby musiała opisać swoje dotychczasowe życie.

Kolejne lata upływały w towarzystwie babć, ciotek oraz zatrudnianych opiekunek. W czasie szkoły każda wolna chwila była poświęcona zajęciom dodatkowym. Balet, pianino, kurs językowy i liczne obozy sportowe – córka państwa Callahan musiała być wszechstronnie wykształcona, co, w połączeniu z odpowiednim zapleczem finansowym i rozległą siecią kontaktów rodziny, zapewniło jej miejsce na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Medycyna nie była czymś, w czym Rylee pragnęła się spełniać, ale perspektywa rozczarowania matki i utraty wygodnego życia była zbyt przerażająca, by wybrała własną ścieżkę kariery.

Od kiedy zaczęła swoją przygodę ze studiami, w jej codzienności rzadko zdarzał się wieczór, taki jak ten poprzedni; spędzony nie nad stosem książek i kilkoma kubkami po kawie, ale w jednym z ulubionych klubów, wśród przyjaciół i lejącego się w nieprzyzwoitych ilościach alkoholu. Zabawa była fantastyczna, ale okupiona męczącym powrotem do domu. Szczególnym utrudnieniem okazało się położenie mieszkania, w którym niegdyś mieszkała z rodzicami, a które obecnie było typowym domem studentów. Rylee dzieliła swoje rodzinne cztery kąty z dwiema przyjaciółkami. W przeciwieństwie do nich nie miała ochoty pokonywać tak ogromnej odległości, dlatego taksówkę opuściła w połowie drogi.

Mieszkanie Rhetta znała jak własną kieszeń. Umiejscowione w ścisłym centrum było dla niej drugim domem, od kiedy tylko ona i nowy brat złapali wspólny język. Bywała tam często, o czym najdosadniej świadczył własny pokój i kilka pojedynczych ubrań upchniętych na dnie szafy. Tego dnia były jej największym wybawieniem.

Około godziny piątej rano, najostrożniej jak tylko potrafiła, przekroczyła próg mieszkania. Z ulgą pozbyła się wieczorowej sukienki i niekoniecznie wygodnych szpilek. Szybki prysznic był orzeźwieniem, jednak nie na tyle silnym, by Rylee zdołała zwalczyć dopadającą ją senność. Spotkanie ociężałej głowy z poduszką zaowocowało odpoczynkiem, który trwał aż do południa.

Wskazówki na tarczy zegara zbliżały się do godziny dwunastej, gdy nadzwyczaj wypoczęta Ryles paradowała po kuchni Rhetta w kusej koszuli. Takie zachowanie dziewczyny ani nikogo nie zaskakiwało, ani nie gorszyło. Dużo większą niespodzianką była za to obecność nieznajomej blondynki, która pojawiła się obok zupełnie znikąd. Callahan zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

– Cześć – rzuciła lakonicznie, wzrokiem powracając do patelni, na której znajdowało się coś, co w założeniu miało być jajecznicą. Jajka były jedną z nielicznych rzeczy, których przygotowywanie nie kończyło się pożarem. Rylee – przyzwyczajona do posiadania w domu gosposi – nie opanowała tajemnej sztuki gotowania. Szło jej to równie kiepsko, jak tolerowanie kolejnych kochanek przybranego brata. Dopiero jego pojawienie się w pomieszczeniu przerwało głuchą, coraz bardziej niezręczną ciszę.

– Gdyby wszystkie witały mnie tak jak ty... – mruknął pod nosem, będąc ewidentnie niezadowolonym z powodu wylewności, jaką charakteryzowała się drobna blondynka. Rhett wyciągnął przed siebie obie

dłonie, chcąc w ten sposób zbudować dystans i wymigać się od powitalnych buziaków. – Co cię tak bawi, Ryles?

– To, jak szybko trafiasz do kobiecych serc i jak bardzo nie potrafisz sobie z tym poradzić. Choć z drugiej strony... nie mogłeś sobie znaleźć kogoś z lepiej zrobionymi cyckami? – zagaiła niezobowiązująco, skrupulatnie ignorując buszującą w lodówce blondynkę.

Choć łagodne usposobienie Rylee nie wskazywało na naturalną skłonność do rzucania złośliwościami, to jednak obecność innych, ładnych kobiet, działała na nią dziwnie drażniąco. Rhett doskonale o tym wiedział i to właśnie dlatego kąciaki jego warg wygięły się w zawadiackim uśmiechu.

– Mogłem, ale po co? Są w porządku. Skoro jednak ciebie tak rażą, to może poleć jej jakiegoś chirurga? No, chyba że twoje są naturalne?

– Oczywiście, że są naturalne. Chyba widać? – Dla potwierdzenia swoich słów niemal od razu odgarnęła do tyłu niesforne, wciąż lekko wilgotne po porannym prysznicu, włosy. Chciała w ten sposób dać mężczyźnie wgląd do swojego dekoltu – nie po to, by udowodnić swoje racje, a w celu zarytowania zerkającej w ich kierunku blondynki. – Następnym razem mniej się staraj. Mam dość natykania się na twoje panny.

– Rzadko się staram. Chciałem zadowolić siebie. U niej wyszło przypadkiem. Przecież nie obiecywałem romantycznego śniadania do łóżka i ślubu w najbliższym wolnym terminie. – Rhett, pożaliwszy się, chwycił kubek z kawą. Raz jeszcze zmierzył wzrokiem stojącą nieopodal, najwidoczniej głuchą na ich przytyki, dziewczynę. Czasami naprawdę żałował swoich wyborów.

– W takim razie współczuję im wszystkim. – Rylee wywróciła oczami, układając talerz ze śniadaniem i kubek z aromatyczną kawą na niewielkiej tacy. – Zjem u siebie. Będę wdzięczna, jeżeli będzie tu spokój – zakomunikowała, rzucając bratu ostatnie spojrzenie; ostrzegawcze i jawnie sugerujące, że wołałaby nie spędzić tego dnia w akompaniamencie jęków oraz stęknąć jego koleżanki.

– Jak to u siebie? Nie możesz mnie tak zostawić, skoro już się tutaj zakradłaś w środku nocy! – jęknął za nią, bez skrępowania przyznając, że liczył na wsparcie.

Chociaż liczba jego kochanek prawdopodobnie przewyższała akceptowaną przez społeczeństwo normę, to jednak nigdy nie spotkał na swojej drodze panny tak zdesperowanej i natrętnej. Znów posłał blondynce przepełnione wyrzutem spojrzenie.

– Dzięki, ale nie jestem głodny. Zbieraj swoje manatki i spieprzaj stąd. Nie mam czasu cię niańczyć, mała – mruknął w kierunku kobiety, której mina wyrażała jedynie niezrozumienie dla sposobu, w jaki Rhett prowadził z nią rozmowę. Nic jednak nie wskazywało na to, że na oko dwudziestopięcioletnia piękność planowała opuścić apartament Hawthorne’a.

Rhett gwałtownym krokiem wtargnął do pokoju, który Rylee mogła i powinna była traktować jak swój. Drzwi trzasnęły za nim z impetem, a materac ugiął się pod ciężarem jego ciała, gdy zajął wolną połowę ogromnego łóżka.

– Nie bądź taka, młoda. Posiedź ze mną, dopóki ona nie wyjdzie, bo obawiam się, że w takim tempie ten poranek naprawdę zakończy się oświadczeniami – pożalił się, sięgając do miseczki z owocami. Rylee niemal od razu pacnęła go w dłoń.

– Od kiedy to młodsze rodzeństwo ma niańczyć to starsze? Nawarzyłeś piwa, więc teraz je wypij – zakomunikowała krótko, nabierając na widelec odrobinę jajecznicy.

– Rylee... – cichy pomruk był ostatnim dźwiękiem, jaki wydobył się z męskiego gardła, nim Hawthorne wepchnął sobie do ust garść malin.

Sukces relacji Rylee i Rhetta leżał w dokładnie rozplanowanym dystansie, który narzucili sobie nawzajem na samym początku swojej znajomości. Choć na pierwszy rzut oka prezentowali się jak

podręcznikowy przykład rodzeństwa idealnego, to jednak w rzeczywistości mieli względem siebie dość neutralne odczucia. Łącząca ich sympatia była namacalna, jednak nie na tyle silna, by kiedykolwiek musieli nadstawiać dla siebie karku w jakiegokolwiek sprawie. Ta, z którą musieli się uporać dzisiejszego ranka, należała do grona tych banalnych, co skutecznie budziło w Rylee irytację.

– Niech ci będzie, ale wiesz mi za to butelkę najlepszej whisky. I sto dolców – rzuciła treściwie, odstawiając na szafkę nocną tacę ze śniadaniem. Podniosła się z łóżka i żwawym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia z sypialni. – Nie – zatrzymała się gwałtownie, znów zwracając się w kierunku mężczyzny – dwieście dolców.

Zniknęła z pokoju, a Rhett ruszył za nią. Czuł satysfakcję z tego, że udało mu się namówić Ryles do pomocy, nawet jeśli miałyby go ona kosztować dwieście dolarów. To była niewielka cena za zmuszenie natrętnej kochanki do wyjścia i był gotów wszystkie te koszty ponieść.

Nie wiedział, co mogliby zrobić, aby skutecznie pozbyć się niechcianego już gościa, ale szybko zorientował się, że Callahan zdążyła opracować cały plan. Rylee ewidentnie postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. I to dosłownie, ponieważ zaraz potem sznurki od dresowych spodni mężczyzny znalazły się w niezbyt mocnym uścisku jej drobnych dłoni. Zmusiła go, by przysunął się bliżej. Nie protestował, gdy dystans między nimi stał się naprawdę niewielki.

– Tak sobie pomyślałam, kochanie – podjęła Rylee, kiedy jej spojrzenie spotkało się z jego – skoro już skorzystaliśmy z życia z innymi, to może przestaniemy się kłócić? W końcu... ze sobą jest nam najlepiej, tak? – przeciągłe westchnięcie było przepełnione teatralnym żalem, ale jednocześnie na tyle głośne, że bez problemu dotarło do uszu opuszczającej łazienkę i – o dziwo – ubranej blondynki.

Rylee zdecydowanie była gotowa odegrać rolę swojego życia, natomiast Rhett, mimo początkowego zaskoczenia inwencją twórczą młodszej siostry, sprawiał wrażenie chętnego na przyjęcie rzuconego wyzwania.

– Jestem za. Na myśl o tym, że miał cię ktoś inny, skręcają mi się wszystkie wnętrzności – odparł, pochylając się tak, by czubek jego nosa mógł się spotkać z jej. Nie wyglądał na zgorzzonego. Rylee również nie przyjęła obronnej postawy, dlatego Hawthorne z jeszcze większą satysfakcją naparł swoją postawną sylwetką na jej drobne ciało: obecnie skutecznie uwięzione między nim a kuchenną wyspą. – A skoro zgadzamy się w tym, że nasze kłótnie nie mają sensu, może powinniśmy wyprosić koleżankę, żebym mógł zrobić ci... – z niemalym zadowoleniem podjął wątek, chwytając w palce niesforny kosmyk kobiecych włosów. Wsunął go za ucho Rylee, do którego nachylił się, by z premedytacją owiać wrażliwą skórę swoim ciepłym oddechem. – Niech głowi się nad tym, jak zbierze sugestie ci przedstawiam – mruknął, zaraz potem zanosząc się śmiechem.

Mógł sobie jedynie wyobrazić minę przyglądającej się całemu przedstawieniu blondynki, na którą starał się w dalszym ciągu nie zwracać uwagi. Mimo to czuł na sobie jej przepełnione dezaprobatą oraz zazdrością spojrzenie, dlatego w celu jeszcze szybszego wyprowadzenia jej z równowagi, przytknął usta do nagiego ramienia Rylee. To spotkało się z głośnym prychnięciem blondynki i krótkim wywodem z jej strony o tym, jak beznadziejni byli. Wiązance epitetów pod jego adresem również nie było końca, a zwieńczeniem owego poranka były zamykające się z trzaskiem drzwi.

– Jesteś genialna – pochwalił Ryles z uznaniem, dopiero wtedy odsuwając się od niej na odległość nie większą niż jeden krok. Chciał, aby obydwójce odzyskali swoje przestrzenie, ale jednocześnie nie czuł potrzeby dalszego budowania dystansu. Jej bliskość, tak intensywna, była zaskakująco przyjemna.

– Jasne, że jestem – odparła, gotowa odepchnąć od siebie mężczyznę na jeszcze większą odległość. Nie chodziło jedynie o potrzebę odzyskania komfortu, ale to dziwne uczucie, które przywoływało ucisk



w dole brzucha. Musiała się go jak najszybciej pozbyć. – Idę zjeść, a potem spać. Ty – wycelowwała w niego oskarżycielsko palcem – postaraj się nie sprowadzić tu kolejnego natręta.

– To moje mieszkanie. Mogę tu sprowadzać, kogo chcę – odgryzł się z uśmiechem.

– Jak chcesz. Obawiam się tylko, że następnym razem, faktycznie, musiałbyś mnie przelecieć na oczach jakiejś panny, żeby się jej stąd pozbyć – fuknęła z wyrzutem, ruszając w kierunku swojego pokoju. Nie sądziła, że Rhett mógłby zastąpić jej drogę.

– Na jej oczach? Czemu by nie – mruknął bardziej do siebie niż do Rylee, którą zmierzył wzrokiem z charakterystycznym dla siebie, przepełnionym złośliwością uśmiechem. Krnąbrnie chwycił w palce cienkie ramię jej koszuli, jak gdyby chciał je zesunąć, i pozwolić materiałowi osunąć się wzdłuż zgrabnego, drobnego ciała, do którego – gdyby nie oczywiste okoliczności – z wielką chęcią by się dobrał. Czuł, że Ryles doskonale zdawała sobie z tego sprawę. – Nie martw się. Nikogo już tu nie sprowadzę. Ani dziś, ani jutro. Mam dość wariatek – zapewnił, przepuszczając ją w progu.

Zamknął za dziewczyną drzwi, pozwalając odespać jej całonocną eskapadę na mieście. Sam zaś ruszył do kuchni, gdzie spędził resztę poranka.

Kiedy Rylee obudziła się późnym popołudniem, w domu nie było nikogo.

## Rozdział 2

Przyjemny poranek okazał się początkiem ciągu wydarzeń, na które nie miał żadnego wpływu. Odebrany po południu telefon zmusił go do opuszczenia swoich czterech ścian na rzecz udania się do baru. Ten dzień nie miał kręcić się wokół spraw związanych z gangiem Firestone, ale rzeczywistość zweryfikowała pierwotne plany, gdy niespodziewanie nad głowami członków klubu zaczynały zbierać się ciemne chmury.

W ciągu kilku ostatnich lat tracili sojuszników, by na ich miejscu pojawiali się zupełnie nowi. Przyjaciele stawali się wrogami, wrogowie przyjaciółmi. Każdego dnia wszystko kręciło się swoim własnym rytmem, i wystarczyła chwila, by to, co dotąd brało się za pewnik, stało się czymś nowym. Mogło się wydawać, że był to chleb powszedni i że nic nie powinno wywołać uczucia zaskoczenia, jednak pojawiały się sytuacje, które – tak jak miało to miejsce tego dnia – wywracały wszystko do góry nogami.

Do baru, mieszczącego się tuż przy warsztacie samochodowym należącym do Trevora – jednego z dwóch najlepszych przyjaciół Rhetta – dotarł w ciągu kilkunastu minut. Wjechał na parking i ściągnął kask. Rozejrzał się po okolicy. Kilku kumpli siedziało przy stoliku, wygrzewając się w słońcu i popijając alkohol. Wśród nich znalazł się również Trevor, który widząc swojego brata z wyboru, podniósł tyłek i przemierzył parking.

– Szybko się uwinąłeś. Żadna dupeczka nie zawracała ci głowy? – Było to typowe powitanie, które zostało podkreślone przyjacielskim klepnięciem w plecy.

Rhett przywykł do tego, że te konkretne słowa padały zawsze. Nigdy nie krył się ze swoją słabością do kobiet. Uganiał się za wszystkimi, mniej i bardziej atrakcyjnymi. Tymi, które były chorobliwie wychudzone, jak i tymi, które miały kilka nadprogramowych kilogramów. Nie zwracał uwagi na ich sylwetki, ale na umiejętności, jakie przekładały się na odczuwaną przez niego przyjemność za każdym razem, gdy kończył z nimi w łóżku, na stole do bilardu czy w barowej toalecie.

– Nie tym razem. Co to za sprawa? John dzwonił i nie dało się nie zauważyć, że jest ostro wkurwiony – zapytał, zerkając na wysokiego bruneta.

Ten, jak prawie wszyscy mężczyźni z klubu, był wytatuowany na niemal całej powierzchni ciała. Nawet Rhettowi nie brakowało tatuaży. Lubił uczucie, które towarzyszyło mu za każdym razem, kiedy wprowadzone do maszynki igły przesuwają się po skórze, wypełniając ją czarnym tuszem. Już dawno stracił rachubę w tym, ile tatuaży miał. Liczyło się to, że były. Zwykłe, które były pijackimi, spontanicznymi decyzjami, te, które świadczyły o przynależności do ekipy, jak i bardziej przemyślane. Wszystkie zdobiły umięśnioną sylwetkę: szyję, ręce, klatkę piersiową i plecy, a nawet nogi. Był skłonny powiedzieć, że ostatnim, który zrobi w swoim życiu, będzie ten na dupie.

– Pamiętasz tę aferę sprzed trzech lat?

– Z towarem od Irlandczyków?

– Tak. Miesiąc temu ludzie Boyle’a założyli nowy irlandzki oddział gdzieś w Oregonie. Dzieli ich godzina drogi od naszej ekipy w Prineville<sup>1</sup>. Nikt o tym nie wiedział, ale nad ranem ich magazyn wyleciał w powietrze. Ktoś wysadził całe zapasy. Dziesiątki kilogramów poszło z dymem. Mieliśmy dostać połowę na sprzedaż. John chciał to odebrać w przyszłym tygodniu. Kumasza?

– Szlag by to trafił. Od kilku tygodni wszystko się pierdoli. Wiedzą, kto to zrobił?

– Mają podejrzenia. Latynoskie dziwki wciąż są cięte na Irlandczyków. Kilka dni temu pięciu skurczybyków widziano w mieście. Możliwe, że weszli. Stary wie wszystko, niedługo mamy zebranie i dowiemy się więcej.

– A co z... – Rhett urwał, gdy ktoś zaszedł go od tyłu i uwiesił mu się na ramionach.

---

1 **Prineville** – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Oregon, siedziba administracyjna hrabstwa Crook (przyp. red).

- Ze mną? O czym tu plotkujecie, słoneczka?
- Spierdalaj z tymi czułościami. W środku masz co najmniej trzy dziwki, które dadzą się za nie pokroić
- warknął, strącając z ramion dłonie drugiego przyjaciela.

Holden był typowym żartownisiem, ale czasami, gdy zachodziła taka potrzeba, jak na zawołanie wykazywał się psychopatycznymi skłonnościami. Nie owijał w bawełnę, nie oszczędzał wrogów, którzy wpadali w jego ręce. Nie miał poszanowania dla ludzi, którym nie ufał, a nie ufał nikomu poza ich motocyklową rodziną. Gdy zabijał, robił to na swoje najbardziej wymyślne sposoby. Niejednokrotnie ktoś zwrócił obiad, widząc na własne oczy, jak traktował swoje ofiary. W takich momentach, jeśli ktoś go nie znał, nie był w stanie powiedzieć o tym człowieku niczego dobrego. Każdy o zdrowych zmysłach trzymałby się z daleka od rośłego, wytatuowanego blondyna, po którym można było się spodziewać wszystkiego.

- No już, nie bądź taki wrażliwy, bracie.

Rhett pokręcił głową. Nie miał teraz ochoty na przyjacielskie zaczepki.

- Co z Silasem? Siedzi z nami od ponad trzech lat jako rekrut. Myślicie, że John znowu się do niego dopierdoli? Nie bez powodu awansował wszystkich, tylko nie jego.

Wrócił do tematu, zerkając w stronę warsztatu, gdzie młodszy od nich rekrut majsterkował przy samochodzie klienta.

- Silas? Jak na moje, to Penny dobrze obciąża Prezesowi i dlatego jeszcze go nie wyrzucił. On po prostu ma go za nieudacznika, więc nie oszukujmy się, grzebanie w silnikach wychodzi mu lepiej niż naciskanie spustu.

- Holden ma rację, młody jest do bani. Chodzi wyłącznie o jego puszczałką siostrę. Swoją drogą, kiedy ostatnio z nią gadałeś? Odczepiła się? – Trevor zaczepnie szturchnął Rhetta w ramię, na co ten wywrócił oczami.

- Ona tak. Jej cycki? Nie. Wyskakują ze stanika za każdym razem, gdy mam zmianę. Chyba obrała sobie nową metodę i wychodzi z założenia, że się napalę, jak będzie zgrywała taką niedostępną.

Trevor i Holden parsknęli śmiechem, klepiąc go po plecach w ramach wsparcia, ale atmosfera szybko uległa zmianie.

- Za dziesięć minut przy stole. Rhett, do mnie. Już.

Głos Johna sprawił, że wszyscy obecni na terenie parkingu, zwrócili swoje spojrzenia w jego stronę. Dało się wyczuć nie tylko napięcie, ale również wszechobecne zainteresowanie. Wszyscy doskonale wiedzieli, co będzie miało miejsce za drzwiami baru. Wiedział to również Rhett, który bez słowa ruszył za wysokim, łysym mężczyzną – tym, który od lat był jedną z najbliższych mu osób; tym, który sprawiał wrażenie pozbawionego pozytywnych emocji i który, choć bił od niego doskonale odczuwalny chłód, traktował go jak rodzzonego syna.

Zatrzasnął za sobą drzwi i skierował się przez bar w stronę tych prowadzących na zaplecze. Wąski korytarz prowadził do magazynu, niewielkiego biura, w którym zajmował się papierkową robotą, i wprost do sali, w której zawsze miały miejsce zebrania klubu.

To właśnie w niej rozsiadł się na krześle znajdującym się po lewej stronie Johna. Przed nim stał olbrzymi dębowy stół z wyrzeźbionym logo klubu – kościotrupem na Harleyu. Taki sam nosił na swojej skórze w postaci tatuażu. Jak wszyscy, którzy przynależeli do Firestone, kochali gang i byli dumni z możliwości działania w jego interesie.

- Co jest grane?

- Patrząc na nasze ostatnie potyczki z kartelem, głosowanie jest formalnością, i plan nie przejdzie, ale jesteśmy pewni, że podporządkowana kartelowi meksykańska ekipa zaatakowała oddział Boyle’a.

– Wiem, obilo mi się o uszy, kiedy przyjechałem. Skąd pewność?

– Rozmawiałem z szefem ekipy z Prineville. Walsh twierdzi, że po wybuchu magazynu widziano dwóch Latynosów na mieście. Schlani na umór nie zwracali na nic uwagi. Rozmawiali o udanej akcji. Wciąż są w mieście, a właściwie to... w drodze do Seattle.

– Co masz na myśli?

Rhett spał się marszcząc czoło, wbijając zaintrygowane spojrzenie w twarz siedzącego obok człowieka.

– Zemsta. Nie puścimy im tego płazem. Bez względu na to, jaki będzie wynik głosowania, chcę, żebyś zabrał Trevora i Holdena. Wyruszyć po zebraniu, stałą trasą. Ekipa Walsha do nas jedzie, a meksykanie za nimi. Macie ich sprzątnąć.

– Zwariowałeś. Chcesz działać za plecami wszystkich? Wiesz, co się stanie, kiedy się dowiedzą?

– Pieprzyć to. Ja dowodzę, ja decyduję, a ty jesteś moim zastępcą. Kiedyś zajmiesz ten fotel i będziesz zmuszony podejmować podobne decyzje.

– Stracimy ludzi, jeśli to wyjdzie. W tym klubie nie ma miejsca na zdradę, a to... to pieprzona zdrada. Skoro chcesz działać za ich plecami, to po co organizujesz to cholerne zebranie?!

– Wiesz, że tak trzeba. Wieści szybko się roznoszą.

Obojętność bijąca od Johna dawała mu do zrozumienia, że nie powinien był się spierać. Prezes podjął decyzję, a Rhett musiał wykonać zadanie, nawet jeśli nie współgrało ono z tym, co od początku wpajano mu do głowy. Nie podobało mu się to, ale wiedział, że odmowa odbije się na nim, bez względu na to, jak zażyłe miał relacje ze stojącym obok mężczyzną.

– Nie masz pojęcia, co robisz... – sapnął ciężko, kręcąc głową. Było to swoiste podsumowanie, ale i szybka kapitulacja. W tym pomieszczeniu nie należało się spierać. Zadania, które otrzymywano, trzeba było wykonywać. To nie był żaden wyjątek od reguły.

– Za dwie godziny musicie tam być. Powiedz rekrutowi, żeby zwołał chłopaków.

Wykonał polecenie. Wstał i ruszył w stronę drzwi. Silas stał tuż za nimi przy niewielkim stoliku. Napotykać spojrzenie Rhetta, bez słowa udał się do baru, by poinformować resztę ekipy o konieczności zebrania się w sali.

W ciągu kilku minut każdy członek klubu zdał przy drzwiach swój telefon oraz broń. Wszystko zostało schowane do skrzynki i zamknięte na czas zebrania. Odwieczna zasada, która nie pozwalała na nagrywanie rozmów toczących się w czasie zebrań i niepozwalająca na wszczynanie gróźb, gdy któremuś z członków nie podobały się podejmowane wspólnie decyzje.

Dwunastu mężczyzn zasiadło przy stole. Każdy na swoim miejscu. Wysłuchali słów Prezesa, który zobrazował całą sytuację. Rhett nie był zaskoczony, gdy John świadomie pominął plan na nadchodzące godziny. Zamiast tego zapytał swoich ludzi, jakie mają zdanie na temat odwetu.

Zgodnie z jego przypuszczeniami większość nie chciała się obecnie mścić na ekipie, która podlegała kartelowi. Osiem głosów przeciwko. Cztery za. Wśród nich Rhett, Holden oraz Trevor, którym wystarczyło rzucić porozumiewawcze spojrzenie, by zrozumieli, że ich zdanie nie miało znaczenia. Była robota, którą trzeba było się zająć.

Wraz z chwilą, w której drewniany młotek uderzył o blat stołu, wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc i ruszyli odebrać osobiste rzeczy, by resztę popołudnia i wieczór spędzić w barze, pijąc i zabawiając się z dziewczynami.

Rhett, opuszczając salę, skinął głową na swoich przyjaciół i wskazał im tylne wyjście na parking, gdzie udał się bez słowa wyjaśnienia.

– Kurwa, stary, zwolnij!

– Daj mu spokój. Widzisz, że jest wściekły.

Był wściekły. Na tyle, by zignorować słowa kumpli. Nie podobało mu się to, że późne popołudnie mieli spędzić na akcji. Ze wsparciem, ale ludzi, których nie znał. Ekipa z Prineville działała od zaledwie miesiąca, może dwóch. Sam nie wiedział. Wiedział za to, że znał tylko ich szefa, a przeczucie mówiło mu, że pchali się w sam środek piekła, z którego mogło nie być wyjścia.

– Co jest grane? – Trevor zadał pytanie pierwszy, gdy zatrzymali się na uboczu, a Rhett oparł się plecami o chłodny mur, wyciągając z kieszeni spodni paczkę papierosów.

– Głosowanie nie ma znaczenia. Jedziemy na akcję. We trójkę.

– Co? – Pytanie to padło zgodnie z ust obu mężczyzn.

– John łamie własne zasady? – Trevor nie krył zdziwienia.

– Na to wygląda. Wiedział, że większość zagłosuje przeciwko.

– I dziwi go to? Do diabła, przecież mówimy o kartelu. Kiedy się dowiedzą, nic z nas nie zostanie. Ostatnim razem straciliśmy sześciu ludzi...

– Podjął decyzję, nie mamy nic do gadania. Oddział z Prineville nas wesprze.

– Nie mogą załatwić tego sami? Jest ich piętnastu.

– Nie mają u siebie takiego świra. – Rhett wymownie spojrzał na Holdena, którego oczy pociemniały. Zrozumiał i poczuł narastającą ekscytację w związku z tym, że właśnie dostał robotę – taką jaką lubił najbardziej.

– Zanim odstrzelimy im łby, masz się dowiedzieć, co jeszcze planują.

– Z przyjemnością. Jakies ograniczenia?

– A jak sądzisz? Żadnych. Rób, co musisz, byle przed śmiercią wszystko powiedzieli.

– Będą śpiewać głosem cienkim jak moja babcia w kościele.

– W porządku.

– Ile mamy czasu? – zapytał Trevor.

– Półtorej godziny. Powinniśmy ruszać.

– No to już, wyrzucaj tego peta i jedziemy pozamiatać tych gnoi. – Radość Holdena była nie do opisana. Palił się do roboty, a jego szaleńcze spojrzenie miało im towarzyszyć przez całą podróż.

Nie czekając na nic, wsiedli na swoje motocykle, a głośny ryk trzech silników przeszył okoliczną ciszę.

Rekrut, który w czasie ich krótkiej rozmowy zdążył wrócić do warsztatu, oderwał się od naprawy samochodu i poszedł otworzyć bramę, by mogli wyjechać. Opuszczali swój teren jeden po drugim, by móc przemierzyć obrzeża Seattle i wyjechać na krajową drogę prowadzącą do Oregonu, z której zjechali na mniej uczęszczane trasy.

Godzina wystarczyła, żeby dotarli w okolice Eatonville<sup>2\*</sup>. Nieczęsto pozwalali sobie na to, by jeździć autostradami. Preferowali możliwość naginania przepisów, a akcje, jakie niosło za sobą ryzyko pościgu, za każdym razem przeprowadzali w miejscach takich jak to.

W okolicy nie było prawie niczego. Bezdroża. Lasy, dzikie tereny, na których nikt się nie osiedlił. Miejsce idealne do gangsterskich porachunków. Ryzyko, że ktoś byłby świadkiem potyczek dwóch konkurujących ze sobą ekip, było bliskie zeru. Nikt nie mógł usłyszeć strzałów, wszystko działo się według zasad ludzi wyjętych spod prawa. Zjechali na boczną drogę prowadzącą do jednego z pobliskich jezior. Zatrzymali się, ukrywając w porośniętej krzakami ścieżce. Umowny punkt, z którego mieli rozpocząć akcję we właściwym momencie. Mieli jednak na tyle czasu, że Rhett pozwolił sobie na ściągnięcie kasku. Chłodny podmuch wiatru owiał jego twarz i poruszył jasne kosmyki włosów.

2 \* **Eatonville** – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Floryda, w hrabstwie Orange (przyp. red).



– Powinni być za dwadzieścia pięć minut.

– Pospieszaliśmy się. Mogliśmy po drodze zahaczyć o jakiś bar – mruknął Holden. – Dawajcie mi tych sukinsynów, mam plany na wieczór. Chcę zrobić swoje i spadam zerznąć tę nową dupę z baru – dodał i zsiadł ze swojego motocykla. Nerwowo chodził z miejsca na miejsce, strzelał karkiem i kośćmi w palcach.

Rhett z Trevorem spojrzeli po sobie, wiedząc, że to nie wróżyło niczego dobrego. Żaden z nich nie był pewny, czy chciał być świadkiem tego, co ich brat robi ze swoimi ofiarami. Już i tak widzieli za dużo. Nie byli wrażliwi, ale pewnych rzeczy nie byli w stanie znieść.

– Wrzuć na luz, stary – zasugerował, spoglądając na Holdena, w którym na marne było doszukiwać się żartownisia, jakim był przed zebraniem. W tej chwili było w nim coś zwierzęcego, wręcz niebezpiecznego.

– Wolisz bzykać czy dawać upust swoim chorym instynktom? – zapytał Trevor, chwytając przyjaciela za ramię, by ten przestał się nakręcać.

Chwilę później odezwał się telefon Rhetta. Wyciągnąwszy go z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz.

– Walsh dzwoni – rzucił i odebrał połączenie. – Co jest?

Kolejna minuta zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Rhett jedynie potakiwał, a wyraz jego twarzy zmieniał się wraz z każdym słowem, którego Trevor i Holden nie byli w stanie usłyszeć. Wiedzieli jednak, że coś poszło nie tak. W innym przypadku nikt by nie dzwonił.

– Zbieramy się. Sukinsyni są cwani. Przewidzieli tę akcję i zorganizowali wsparcie. Jadą stanową.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Jego towarzysze momentalnie znaleźli się na swoich motocyklach i odpalali silniki jeden po drugim.

– Wracamy, poczekamy na nich przy głównej drodze – stwierdził Rhett, i nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku, z którego przyjechali.

Dojazd do drogi stanowej zajął im niespełna kwadrans. Wystarczyło, żeby zdążyli. Mieli zaledwie sekundy na to, aby dostrzec oddział z Oregonu, za którym jechały dwa SUV-y i kilka motocykli.

– Musimy ich eskortować – zauważył Holden, podczas gdy w oddali dało się słyszeć serię wystrzałów.

Rhett skinął głową. Sięgnął po broń upchniętą za paskiem spodni, i wyjechał na ulicę, zrównując się z ludźmi Walsha. Holden i Trevor zrobili to samo, choć ten drugi w ostatnim momencie zdołał uniknąć wymierzonego w ich stronę strzału.

– Niech cię szlag! – ryknął i wystrzelił dwa razy w stronę ścigającego ich SUV-a. Trafił, co potwierdził moment, w którym auto skręciło, i zwalniając uderzyło w bok innego samochodu.

Rhett nie zwracał na to uwagi. Podobnie jak Holden, zmagał się z dwoma motocyklistami, którzy chcieli ich zepchnąć z drogi. Wiedzieli, że nie mogli sobie na to pozwolić. Manewrowaniu ciężką maszyną towarzyszyły kolejne strzały, a z oddali dało się słyszeć dźwięk nadjeżdżającej policji.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim do pościgu dołączyły cztery radiowozy i kolejne wystrzały. Wiedział za to, że oddział z Prineville stracił jednego człowieka, a meksykańska ekipa dwóch ludzi. Ryzyko, że ofiar wśród Firestone będzie więcej, wydawało się na tyle pewne, że zdecydował się podjąć samobójczej misji. Zwolnił, zrównując się z zastępcą szefa przyjaciół. Szybko pojął, że był to błąd. Jeden z wystrzelonych w ich stronę pocisków trafił go w bok. Rhett poczuł przeszywający ból, a z jego gardła wydobył się wrzask i kilka ostrzejszych przekleństw. Zacisnąwszy zęby, spojrzął na jadącego obok mężczyznę, który wystrzelał cały karabinek i był zdany jedynie na swoich współtowarzyszy oraz prędkość Harleya.

– Jedźcie do klubu. Odciągnę ich – polecił, na co mężczyzna, na oko po czterdziestce, skinął głową.

– Holden! – ryknął w stronę przyjaciela i wskazał na zjazd, który prowadził w boczną ulicę.

Holden zrozumiał, toteż w tej samej chwili zwolnili, by pozwolić reszcie ekipy ich wyminąć. Motocyklami zastawili przejazd. Kilka przypadkowych samochodów zaliczyło stłuczkę. To dało czas oddziałowi jak i im, żeby uniknąć kolejnej porcji strzałów z broni automatycznej.

– Kurwa, bracie. Krwawisz jak zarżnięta świnia.

– Pieprzyć to, musimy ich odciągnąć i zgubić – wyjaśnił i ruszył przed siebie, co chwilę spoglądając w tył. Część meksykańskiego gangu pojechała za resztą, ale większość skierowała się za nimi.

Czuł, jak adrenalina krążyła mu w żyłach, a bok w dalszym ciągu przeszywał ból. Chwycił się za niego, czując pod palcami ciepłą, lepka maź. Spore ilości krwi na dłoni tłumaczyły, czemu opadał z sił. Wiedział, że gdyby nie wola przetrwania straciłby przytomność. Był jednak ukierunkowany na przeżycie i ucieczkę. Nie chciał, by wróg dobił go tu i teraz. Nie zamierzał umierać w taki sposób. Nie z ręki tych sukinsynów.

Moment, gdy po kilkunastominutowej ucieczce zdołali zgubić wroga, był niczym wybawienie. Nie miał pojęcia, gdzie jest Holden, ale błoga cisza panująca w okolicy wystarczyła, by zyskał pewność, że miał ich z głowy. O kumpla się nie martwił. Zawsze dawał sobie ze wszystkim radę.

Oslabiony, pokonany przez rozrywający ból, próbował zejść z motocykla. Przeliczył się. Adrenalina powoli odpuszczała, a on nie zdołał utrzymać się na nogach o własnych siłach. Twardo upadł na żwirową drogę. Czuł, jak drobne kamyczki ocierają mu twarz i wbijają się w skórę. Robiło mu się ciemno przed oczami. Choć mrugał, nie potrafił złapać ostrości widzenia. Oddech stawał się coraz płytszy, a jego zaczynał ogarniać dziwny, niezrozumiały spokój.

**ZACHĘCAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI KSIĄŻKI!**